Rok V. Myślenice, maj-czerwiec 1937. Nr. 5.

GŁOS MŁODYCH

ORGAN GMINY SZKOLNEJ PAŃSTW. GIMNAZJUM KOEDUKACYJNEGO
im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI w MYŚLENICACH.

Rok szkolny kończy się.

Rok szkolny kończy się. Całoroczna praca uzyskuje premię: zdobycie upragnionej promocji do klasy następnej. Wkrótce zamrze ruch w murach szkolnych, zostaną puste — tak zawsze wesołe — ławy szkolne. Wszyscy pożegnamy to życie szkolne; jedni na zawsze, inni na okres wakacyjny, na upragniony po całorocznym trudzie — odpoczynek, by potem pełni sił i zapału znów stanąć do pracy.

Redakcja naszego organu szkolnego, „Głosu Młodych", żegna Was, Koleżanki i Koledzy, i życzy Wam najlepszego wypoczynku i wesołych wakacyj... Z jedną tylko prośbą zwraca się do Was: nie zapomnijcie o swojej gazetce!

Przecież chlubą naszą jest posiadać własne pisemko, swój własny organ, który byłby odbiciem naszych myśli, dążeń, przeżyć! Na łamach tej gazetki każdy, kto ją czyta, musi znaleźć odzwierciedlenie naszej młodości, naszych aspiracji i zdolności, naszych młodych, entuzjastycznych myśli.

Jakże mało poświęcaliśmy się jednak rozbudowie swego organu, jakże mało pracowaliśmy, by go uświetnić, udoskonalić, ożywić duchem młodzieńczym, dać mu prawdziwy pęd młodości. Kulał z rozpaczą, bo nie miał wśród nas oparcia, bo nie pomagaliśmy mu dość wydatnie do pożądanego biegu i wzlotu.

W przyszłym roku szkolnym musimy inaczej, w innym duchu podjąć pracę około naszej gazetki.

My młodzież polska, spadkobiercy ideałów filomackich i filareckich, spadkobiercy młodzieży niepodległościowej — inaczej dać musimy wyraz naszego życia!..

Wyraz silny i pełny.

O naszych wartościach dowiedzieć się muszą Ci, którzy przekażą nam swój spadek, olbrzymi spadek, bo: Niepodległą Polskę! Oni muszą dowiedzieć się o tym, że będą mieli godnych następców, że my nie zmarnujemy tego drogocennego dorobku, że pielęgnować go będziemy i uświetniać ... „bo silną przecież mamy dłoń" i duch wśród nas jest silny.

Ta nasza siła ujawnić się musi już teraz, na ławie szkolnej, wartość nasza w młodości musi być rękojmią świetnej przyszłości naszej Ojczyzny!

Czy więc o wartościach naszych, o sile naszej, o naszych dążeniach nikt nie ma wiedzieć?!

Czy mają wciąż padać posądzenia, że jesteśmy niedołężni, słabi i niesamodzielni, że nie potrafimy naśladować młodzieży z doby ubiegłej?

Czy tak ma być? Czy inaczej?

Przecież nasza duma młodzieńcza nie może być na takie zarzuty nieczuła.

Trzeba dać wyraz swej siły, swej wartości! Wyraz ten damy na łamach swego pisma, w „Głosie Młodych".

Jeśli się chce poznać tendencje działających ludzi i działających partyj — trzeba czytać ich pisma. Jeśli ktoś chce poznać nas, niech czyta organ nasz, „Głos Młodych"! Tam znajdzie odbicie naszych poglądów na świat, choćby czasem nieskrystalizowanych, ale w każdym razie stanowiących o naszej wartości i celach.

A więc: żeby tak było, żeby się tak stało, aby praca nasza wystąpiła w wyraźniejszej niż dotychczas formie, trzeba, abyśmy wszyscy wzięli w niej udział...

Każdy z nas ma prawo zabierać głos na łamach naszego pisma, każdy może znaleźć w nim pomieszczenie dla swej pracy. Przyjmiemy wszystkich z ochotą!

— — — — — — — — — —

Wydając ostatni w tym roku numer naszego pisemka i przemawiając z jego kart do Was, Koleżanki i Koledzy, w imieniu nowej Komisji redakcyjnej, mam nadzieję, że przyszły rok przyniesie nam rozbudowę naszego pisma pod każdym względem.

Żegnamy Was jeszcze raz, życząc bardzo wesołych wakacyj i nabrania nowych sił do nowej pracy!..

A pamiętajcie, że „Głos Młodych" pragnie dowiedzieć się, jak spędziliście wakacje.

Przygotujcie mu ucztę — napiszcie dużo — czekamy.

Do przyszłego szkolnego roku!!

Zofia Broszkiewiczówna (IV.)

Zegara takt.

I znowu w życiu wielki krok,
I znowu minął cały długi rok,
Idziemy naprzód — niemylny znak:
Tik—tak, tik—tak...

Spokojny, równy zegara chód
Chroni od wszelkich marzeń i złud,
Idziemy naprzód — niemylny znak:
Tik—tak, tik—tak...

Nigdy nie cofa swych kroków w tył,
Choćby tysiące lat szedł i bił!
Czas pędzi naprzód — niemylny znak:
Tik—tak, tik—tak...

Straconych godzin — nie wróci żal,
Nieubłaganie czas pędzi w dal.
Wszystko przeminie — niemylny znak:
Tik—tak, tik—tak...

I młodość przeminie, co cieszy i smuci,
Czar młodych dni minie—i już nie powróci,
A życie pójdzie dalej — w zegara takt:
Tik—tak, tik—tak...

Z. B. (IV.)

Jeszcze nie na tym koniec...

„Czyń człowiecze, co chcesz, ale końca patrz!" — tak mówi stare przysłowie. Ileż prawdy zawierają te proste słowa i jakąż głęboką myśl w sobie kryją.

Ludzie dążą do tego, aby uprzyjemnić sobie życie, aby wyzyskać każdą chwilę dla siebie, pragną wychylić do dna puchar szczęścia. Nie dostrzegają jednak, że na dnie pozostała kropelka i ta zwie się „gorycz", nie myślą o tym, że kiedyś przyjdzie—koniec.

Snują więc moc projektów, budują wspaniałe gmachy — w wyobraźni, zdaje im się, że cały świat po to został stworzony, aby im służyć. Gdy jednak przyjdzie chwila taka, że zniweczy ich wszystkie plany, ogarnia ich zwątpienie i rozczarowanie.

Dlaczegoż więc często spotyka nas rozczarowanie? Odpowiedź jedna. W realizowaniu swych planów nie umiemy dążyć konsekwentnie do końca — stajemy w połowie drogi, obwiniamy wszystkich, tylko nie siebie samych. Nie zadajemy sobie pytania—co będzie dalej. Bo jeszcze nie na tym koniec.

Tak jest i w naszym życiu szkolnym.

Rozpoczynając rok szkolny pełni sił i najlepszych postanowień, robimy moc projektów i przyrzekamy sobie, że będziemy pracować sumiennie, że nadrobimy wszelkie braki, że pilnością wyrównamy brak zdolności.

Ale to nie na tym koniec — bo dużo można powiedzieć, ale spełnić to ciężko przychodzi i wiele przeszkód trzeba zwalczać. Ileż to razy w ciągu roku ogarnia nas zwątpienie, zaczynamy się zaniedbywać, po prostu brak nam bodźca do dalszej pracy. Dopiero zbliżający się koniec roku przypomina nam, że wiele cennych chwil zmarnowaliśmy, że wiele naszych projektów wogóle nie weszło w życie. Chcielibyśmy w ciągu paru tygodni wszystko naprawić, nadrobić. Niestety — wtedy już jest za późno.

Dziś uśmiechają się do nas dni złote, jasne pełne swobody — będziemy wypoczywać po trudach. Od naszej pracy zależy, jakim będzie ten wypoczynek.

Osądzimy się w głębi duszy sami — i sami ocenimy wartość naszej pracy.

Pamiętajmy jednak, że to dopiero pewien odcinek drogi przebyliśmy, że do celu jeszcze daleko. A musimy się zawsze posuwać naprzód, bo cofać się nam nie wolno.

Jeszcze nie na tym koniec. Trzeba dalej pracować.

Wanda Trojanowska (VII.)

Żegnajcie!...

(refleksje pomaturyczne)

Po wiosnach—lata, po jesieniach—zimy. Czas pędzi naprzód, w biegu nigdy nie ustaje. Porywa z sobą wszystko, co napotka — w szalony wir życia.

— Przemija wszystko, co cieszy, co boli, znika, jak krąg fali poruszonej wody.

A tylko jedno zostaje — pamięć tych dni minionych, wydarta mgle zapomnienia. Zostaje wspomnienie, co treścią jest naszej duszy — wspomnienie tego, co tak już dalekie, dalekie tak, a tak bardzo bliskie...

— — — — — — — — — — —

Pamiętasz? Przed laty (czas płynie jak rzeka) stanąłeś twarzą w twarz z nowym nieznanym ci życiem. Nieznany świat otworzył ci się przed oczyma, mały, wyśniony światek granatowych mundurków.

Pamiętasz, jak z drżeniem ukrytym, lecz śmiałym głosem „sprzedawałeś“ swe wiadomości (a targ był wysoki) za cenę wstępu w ów nowy świat, nęcący zjawą wspaniałej (marzyłeś) przyszłości.

Powiedziałeś sobie „muszę“ i przekroczyłeś ową zaporę, oddzielającą cię odtąd od „zwykłych śmiertelników“ — mury gimnazjum. Rozpocząłeś inny żywot. Spróbuj odtworzyć go — rozwiń ten barwny film z lat szkolnych, rzuć go na ekran pamięci. Przesunie ci się przed oczyma powieść—bajka (aż dziw, że życie jest tak barwne...)

— Jasne, słoneczne dni — i te okrutne, przesycone żalem i goryczą zwady serdeczne i zazdrość ponura (— to wspomnienie boli —) i przyjaźń wielka, co przetrwa do grobu.

A potem zobaczysz się na owym wielkim szlaku swej wędrówki w przyszłość. Jej pierwszy etap, to matura.

Oj — ciężka to była wędrówka (— choć czasem zdawała się lekką —). Jej szlak nie zawsze usłany różami, a przecież róża też ma kolce. Znosiłeś wszystko z poddaniem się i spokojem, czy też buntem wzbierało ci serce — to przeszło.

Przesunęły się szeregi lat (— jak zwiędłe liście jesienne spadają kartki kalendarza —). Stanąłeś przed pierwszą przeszkodą. Stanąłeś przed bramą prawdziwego burzliwego życia.

— Serce zabiło ci silniej — co mię czeka? (— Życie nie zawsze jest piosenką —).

Marzyła ci się przyszłość jasna, marzyło się szczęście ogromne (— Nawet po gruzach snów młodzieńczych w upartej walce musisz naprzód iść —).

— Jeszcze jeden krok — wysiłek. Brama otwarta.

I dziwna rzecz. Coś ci mąci radość. Czujesz się jakby niepotrzebny już nikomu, wyrzucony poza nawias. Nie wiesz, dokąd iść, co robić (— może ci ciąży ta „dojrzałość", rzucona na niezbyt jeszcze zahartowane barki —), nie wiesz, co począć ze samodzielnością, o którą dotąd walczyłeś wytrwale.

A nadewszystko czujesz żal — żal za dzieciństwem już prześnionym, za przepięknym życiem szkolnym, żal za przyjaźnią, za radością jasnych dni.

Żal ci tego gwaru i werwy młodzieńczej (— czujesz, jak młodość przemija? —), żal ci, że musisz pożegnać — może na zawsze — ludzi napotykanych na twej drodze, z którymi złączył cię twój los, ludzi życzliwych (— przykrości zapomniałeś —), przyjaciół, których może już nigdy nie zobaczysz. (— „Nigdy" — słowo nabrzmiałe rozpaczą —).

— Stoisz poza nawiasem. Patrzysz, słuchasz, wszystko jest, jak dawniej. Szkoła rozbrzmiewa gwarem, życiem — a ty stoisz z boku — patrzysz z zazdrością, jak miejsce twe zajęli inni (— taki już jest porządek rzeczy —).

Po nich przyjdą znów inni — i znów będzie to samo. I oni pójdą w dal nieznaną i oni przeminą, jak my przemijamy.

— A tymczasem musisz położyć krzyż na twym dawnym życiu.

— Pójdziesz samotny czy samotna w ruchliwą ulicę życia...

— Pójdziesz naprzeciw doli i niedoli i dniom naprzeciw może bez barwy i słońca. Rozpoczniesz znów trud jednania sobie przyjaźni — rozpoczniesz zaciętą walkę, walkę z losem. (— Pamiętaj, że ta walka łatwiej znośna, gdy ma się wokół przyjazne twarze —).

Lecz koniec — barwnej kres powieści. Rozstanie. (— Coś chwyta za krtań —). Ciche słowa życzeń, nadzieja spotkania... (— W czyimś oku łza się kręci —).

— Żegnajcie... na długo... Może nadejdzie ów wiosenny dzień spotkania.

Może nam w sercach znów zagości radość tych minionych lat, może odżyje dawna przyjaźń i znów się prześni sen...

Lecz tymczasem (— to rzeczywistość woła —) żegnajcie!...

— — — — — — — — — —

Żegnaj szkoło! —

W cieniu twych murów dojrzały nasze pragnienia, tęsknoty, ułożyły się ścieżki naszego życia, drogi w bezpowrotność...

Wspomnienie o tobie pójdzie za nami we wielki, huczący świat...

Żegnajcie Wy wszyscy, co wiedliście nas przez dolę i niedolę do bramy życia... (— brak nam teraz Waszej silnej ręki —). Choć różne są serc ludzkich koleje, choć nieraz zgrzyt w nich odżyje i przyćmi słowa dobre i jasne — pamięć o Was będzie nam osłodą dni — być może — smutnych, bezsłonecznych.

— Brak nam będzie w naszej wędrówce w nieznane Waszych przyjaznych twarzy, Wy „młodsi“, którzy zajęliście teraz nasze miejsca, brak Waszych rozmów, nabrzmiałych radością życia. Lecz nasz los nas woła.

— Życzymy Wam, byście w zmiennych kolejach losu zachowali tę werwę młodzieńczą i weszli w jaśniejszą niż my — przyszłość.

— — — — — — — — — —

A my — idźmy w świat... idźmy...

Mieczysława Nagawiecka.

Matka.

(z okazji „Święta Matki“)

„Syneczku!“ rozwarte przerażeniem oczy. „O mój Ty Boże! to przecie sen!“ Synuś śpi spokojnie w kolebusi — a czerwona bruzda

na czole piecze. Położyła głowę na krawędzi, bo tak uciesznie się bawił jej gęstymi włosami — i zasnęła. Synuś śpi — a taki był rozpalony wieczorem, niespokojny. Przesiedziała do północka, rumiankiem mu buzię przemywała, aż się uspokoił i za te włosiska zaczął ją targać. Że też taki pędrak tyle już siły ma. Bolała ją skóra — ale niech ta, byle tylko zdrów był maleńki. Już świta. Trzeba będzie wnet do stajni pójść — i do gadziny, potem okopywanie — a tak ją jakoś kościska bolą. Już drugą noc przy kolebce. „Byle byś tylko zdrów był, synku!"

— — — — — — — — — —

„Synku! Żeś przyszedł — tyli świat z tych Myślenic. Siądźże — głodnyś. A coś ty taki markotny jakiś, cóż ci to synku, powiedzże, nauka?... profesor zły?... Wypocznij — zaśnij! Potem opowiesz mi wszystko..."

I znowu jak przed laty, usiadła na krawędzi łóżka i z miłością patrzyła na usypiające dziecko. Z wyrazu jego twarzy starała się odgadnąć, co je gnębi.

— — — — — — — — — —

„Niech cię Bóg prowadzi, syneczku! Ucz się dobrze, wracaj zdrów! A gdyby ci źle było, wracaj do domu... No, idź syneczku..." I przyciska syna do serca, jakgdyby z niego dać chciała synowi otuchy i siły.

A potem załzawionymi oczyma patrzy w dal. Jeszcze go widzi. Coraz mniejszy — mniejszy — zniknął.

Wtedy wolno odchodzi w pole do okopywania, stajni, bydła...

Mija wiele lat.

— — — — — — — — — —

Stare zmęczone oczy matki starają się odczytać litery listu. Na papier spada łza szczęścia... „O Boże — czy to możliwe? Mój synek najdroższy — więc — nie — czy to prawda? — przyjedzie! On — taki pan — doktor — przyjedzie do swej starej matki!.."

Nie zapomniał! Przyjedzie! Zobaczy go znowu. Będzie mogła przytulić swego jedynaka. — Ale jak go tu przyjąć, w takim nędznym, małym domku... jego — pana?! Wstaje staruszka i zaczyna krzątać się po domu.

Ogromna miłość matki przeradza się w jakąś cześć bałwochwalczą i uwielbienie. Zapomina o tym, że takich ludzi jak on jest na świecie tysiące. Widzi tylko jego jednego.

— — — — — — — — — —

I zawsze tak jest. Przeogromna miłość matczyna stawia swe dziecko na piedestale. Nawet w najgorszych wypadkach potrafi matka doszukać się dobrych momentów na usprawiedliwienie dziecka.

Matka oddaje swemu dziecku wszystko. Od kolebki do ostatniego swego tchnienia prowadzi dziecko przez życie, uczy je, pociesza, ratuje, kocha.

A dzieci przyjmują ten ogrom miłości z przekonaniem, że to im się należy. Że matki obowiązkiem jest dać swemu dziecku wszystko. A jakże często zdarza się, że w swym sercu nie może dziecko znaleźć miejsca dla swej matki. Że nie ma czasu na poświęcenie swej matce kilku myśli. Dzieci są bezlitosne i okrutne.

A odczucie tego zjawia się w postaci wyrzutów i żalu do siebie, że za mało wdzięczności okazujemy swej matce — w chwili, gdy serce matczyne wypełnione tylko wyłącznie miłością do dzieci, przestanie bić...

Dlatego przynajmniej raz w roku, 31-go maja, w dniu „Święta Matki“ pamiętajmy w każdej sekundzie o ogromnym długu, zaciągniętym u naszych pełnych miłości i poświęcenia Matek!

R. H. (VII.)

Hanka w domu na Zielonych Świętach.

Słonko ostatni raz ogarnęło sennym spojrzeniem świat cały i znużone całodzienną wędrówką schowało się za lasek Krzyszkowskiej góry. Wspaniały chór przyrody żegnał je pieśnią radości, wdzięczności — po czym z wielkim nastrojem i godnością począł się przygotowywać do wieczornej modlitwy.

Hanka siedziała bez ruchu na miedzy, otulona świeżą zielenią traw. Całym sercem i duszą chłonęła wszelkie odgłosy i zbierała oczyma każdą barwę, każdy cień na strzelających już w górę kłosach żyta i taką ogromną radość czuła w sercu, że ręce w górę wyciągnęła, chcąc okazać Najwyższemu swój zachwyt nie słowami, ale uczuciem dziwnym, którego nie umiała określić. Jakie to wszystko dla niej drogie, jak bardzo stęskniła się w czasie pobytu w szkole za otulonymi srebrną mgłą łąkami, za cichym, wiejskim oddechem

wietrzyka, za tak cudnym a drogim szeptem kłosów. Nic dziwnego. Od samych Świąt Wielkanocnych nie była w domu. Nie miała czasu. Uczyła się usilnie, aby w czasie pobytu w domu być wolną od wszelkich powtórek, móc żyć w swoim świecie.

Chrzęst deptanej trawy zbudził ją z zachwytu...

„Chodź, Haniu, z nami na majowe. Ale prędko, bo już czas. Czy pójdziesz potem na sobótki?..."

Zatrzymały się przed jasno-oświetloną figurą. Płomyki świec chwiały się w cichym wietrzyku, strasząc dzieci ruchliwymi cieniami pobliskich lip.

Za chwilę popłynęła cudna pieśń, która odbiwszy się o włochate domy, sady i gaje, poczęła się wspinać z dymnymi oparami stawów ku niebu. Zamglone i wilgotne ze wzruszenia oczy rozmodlonego ludu zdawały się widzieć swoją Matuchnę, serca tylko dla Niej w tej chwili biły, Jej hymn miłości śpiewały.

...A w górze księżyc zbierał z radosnym uśmiechem niosące się po świecie echa pieśni i otuliwszy je w złote promienie tkaną szatą składał Niepokalanej.

Po „majowym" cała gromada znalazła się przed otuloną cieniem starych drzew szkołą. Młodzi z ogromnymi pękami i wiązkami chrustu, ze starymi miotłami, snopkami słomy — a wszyscy z ogromną ochotą i radością, co przy sobótkach jest niezbędne. Wkrótce też zjawił się kierownik szkoły z żoną i ruszyli wraz z całą gromadką w pole, aby tam na szerokiej miedzy (ulubionym miejscu Hanki) palić wspólnie sobótkę.

Najstarszy wiekiem gospodarz ułożył ognisko i nakazawszy ogólne milczenie poprosił panią kierowniczkę o zapalenie ogniska. Pieśń zachwytu powitała pierwsze płomienie, które z sykiem i trzaskiem poczęły się wspinać w górę. Za chwilę wszyscy zawiśli oczyma na ustach kierownika, który począł opowiadać o sobótkowych zwyczajach dawnych Słowian. Potem nastąpiła najważniejsza część.

Najmłodsi, jako że są niewinni a więc Bogu najmilsi, zapaliwszy czy to miotły czy gałązki choiny, ruszyli między pola miedzami. Dzień przedtem obiegli je w ten sam sposób z wodą święconą, aby zabezpieczyć je od burz i gradu. Dziś chcieli światłem i ciepłem obudzić drzemiące jeszcze kłosy do wydania najlepszego plonu. Starsi

zaś chłopcy przeskakiwali przez ogień, dokonywując cudów zręczności i niezgrabności. A poważni gospodarze przypominali sobie wesoło dawne czasy.

W końcu zebrali się wszyscy wokół ogniska, przyłożyli naraz kilkanaście ostatnich wiązek chróstu i śpiewali pieśni smętne i wesołe tak długo, aż ognisko poczęło wygasać. Wtedy wszyscy ruszyli powoli ze swojską piosenką na ustach.

Hanka śpiewała razem z innymi, wlewając w każde słowo swą miłość do wsi, do przyrody.

A wszystkie pola, sady i gaje powtarzały każde słowo jej pieśni i odsyłały jej swoje—cudniejsze, dźwięczniejsze. I ta pieśń rodzimej przyrody w cudną noc Zielonych Świąt ukołysała do snu szczęśliwą Hankę.

M. Kochanówna (III.)

Chicago — miasto mojego dzieciństwa.

III.

Z czasów mego pobytu w Chicago szczególnie mocno tkwi we mnie wspomnienie straszliwej katastrofy, jaką był pożar olbrzymiej chicagowskiej rzeźni. Ogień z niezmierną szybkością ogarnął wszystkie niemal zabudowania, stanowiące jakby osobne miasto na dużym obszarze. Syk płomieni zmieszał się w straszną muzykę grozy z rozdzierającym rykiem tysięcy sztuk bydła, które było wewnątrz zamknięte. Zdołano tylko małą część ich uratować, gdyż strażacy ratowali przede wszystkim robotników, którzy zostali odcięci od świata w piwnicach płonących gmachów rzeźni. Mnóstwo tych dzielnych „firemanów" (strażaków) znalazło tam tragiczną śmierć, rzuciwszy się w morze płomieni na ratunek bliźnim. Pogrzeb tych bohaterów obowiązku i miłości ludzkiej był ogromną manifestacją.

Niedługo po tym pożarze, w dwunastym roku życia, spotkała mnie straszniejsza osobista katastrofa. Oto straciłem ukochaną matkę. Jej śmierć była przyczyną naszego powrotu do Europy, bo tatuś dotknięty tą stratą i pozbawiony chwilowo pracy po pożarze rzeźni, postanowił opuścić Stany Zjednoczone i wrócić do ojczyzny.

Powrót odbył się na polskim okręcie „S. S. Kościuszko". Dnia 30. września 1933 r. wyjechaliśmy z Chicago pociągiem do Nowego

Yorku. Podróż ta trwała 23 godzin. Lecz nie była nudna, bo coraz to nowe krajobrazy mogłem podziwiać z okien wagonu. Dnia 1-go października 1933 r. stanęliśmy w Nowym Yorku i w tym samym dniu nasz okręt miał odjechać. Przelotnie więc tylko widziałem to największe miasto świata. Jak widma jakieś olbrzymie sterczą dotychczas w mej pamięci konturowe obrazy nowojorskich „drapaczy chmur", tych niesamowitych tworów ludzkiej genialnej techniki. Objąłem je jeszcze ostatnim spojrzeniem w chwili, gdy żegnałem amerykańską ziemię, która dała mi wcale szczęśliwe dzieciństwo. Lecz jakże to szczęście nagle i boleśnie zostało przerwane.

Żegnały nas najwyższe z drapaczy: Wodwortha, Wrigley's i inne, symbole amerykańskiej energii twórczej.

Kapitanem „Kościuszki" był pan Borkowski, sławny już z doświadczenia polski „wilk morski".

O godzinie 3. po południu kazano nam wejść na okręt i ulokować bagaż w kajucie.

Wkrótce potem odpłynął okręt, żegnany przez ludność, która jeszcze z daleka powiewała chustkami.

Gdyśmy przejeżdżali koło Statuy Wolności, kazał kapitan podnieść banderę.

Na drugi dzień „Kościuszko" zatrzymał się w Halifax, gdzie nabrał ładunek węgla. Za kilka dni wypłynęliśmy na pełny ocean. Przeżyliśmy tu burzę morską, trwającą 2 dni. W kilka dni później, gdy morze było już najspokojniejsze, zdarzył się na okręcie wesoły kawał. Oto kapitan urządził próbę ratowniczą. Gdy wszyscy najspokojniej zażywali popołudniowego wypoczynku, rozległ się nagle alarm. Powstał popłoch, wszyscy wybiegli na pokład, by zobaczyć, co się dzieje, a widząc, że są to tylko ćwiczenia marynarzy, wracali już do kajut niezadowoleni, że im przerwano spoczynek, kiedy nagle z jednej kajuty wybiega jakiś gruby jegomość z pasem ratowniczym na sobie i rozdziera się na całe gardło: „Ratunku!! Ja jeszcze zostałem!!"

Płynęliśmy ku Europie, ku Polsce.

K. Krzysiak (I.)

„Drzewiej!"

Nie zawsze tak bywało, jako obecnie jest. Onego czasu (było to niedawno) — „straże czuwające" czuwały nad szczęściem własnym i wszystko czyniły dla dobra Ojczyzny.

Lecz powiadam — tak bywało... Obecnie ta mocna „straż" z trudem może czuwać nad samą sobą.

Trudno! Dawniej, onego czasu były to „Rysie", przebiegłe, nie dające się uwieść żadnej pokusie, były to zwinne „Kozice", które celowały we wszystkim. Onego czasu...

Jak to smutnie brzmi...

Dzisiaj... Nie! Martwota i ząb czasu nie pożarły do szczętu wszystkiego. Jak z popiołów i spaleniska wygrzebano coś wartościowego, coś pięknego! Miłość przyrody... A może jeszcze ten pączek rozwinie się w przecudny kwiat?...

Onego czasu bywało... miłość braterska kwitła, współżycie, egoizmu nie było na lekarstwo. Nie widziano wad u bliźniego, widziano jego zalety i za to go szanowano. Wspólna idea ich łączyła, wspólne losy, walki i dążenia. Ta wielka rodzina miłowała się, udoskonalała umysłowo i fizycznie. Dbała o sprawność fizyczną i umysłową.

„Kozice" walczyły mężnie z przeciwnościami, stawiały mężnie czoło przeszkodom, lecz czyniły to zgodnie, wspólnie, wytrwale. Ale uważały, aby snać nie uderzyć kogoś nieostrożnie swymi rogami, czuwały, aby nie stratować nogami małego nasionka lub dobrego owocu.

Onego czasu wszystko tętniło życiem, szczęściem, wynikającym z miłości bliźniego.

Lecz wszystko zasnęło, pogrążyło się w głębokim śnie.

Tymczasem lato rozpoczyna swoje panowanie. Są upały! Już dłużej nie można spać!

A więc zbudźcie się, śpiący rycerze, „Kozice" i „Rysie"! Zbudźcie się do czynu, zerwijcie kajdany gnuśności i bierności.

Musicie postępować w pierwszych szeregach, nieść pochodnię wiary i miłości! Nie wolno postępować na szarym końcu! Wspólnie, wytrwale, mężnie, jak to onego czasu bywało!

S. S. (IV.)

Wrażenia z ostatniej wycieczki.

Wycieczka — to coś wspaniałego. Po prostu nie da się opisać tych wszystkich przygód, zmartwień, żartów i niepowodzeń, jakie daje nam wycieczka. Każda wycieczka ma w sobie coś w rodzaju magnesu, posiada pewien swój czar, urok, który wszystkim się udziela.

Napiszę więc kilka słów o naszej ostatniej wycieczce w góry. Wycieczka to była niezwykle miła, urozmaicona, pełna okrzyków radości i ulgi, zwłaszcza gdy chodziło o zdobycie szczytu.

Droga jest wygodna, czasem jakby specjalnie dla nas wyścielona kilimami z mchu i przeróżnych kwiatów; niejednokrotnie piętrzy się, sroży, jakby się gniewała, iż ktoś odważył się tak śmiało piąć po stokach góry. Ale biedne „dziecinki" na nic nie zważają, są dzielne, pną się do góry jak prawdziwi taternicy, tylko czasami wzdychają, i milczkiem szukają oczyma wody. Ale woda w górach nie śpieszy tak ochotnie na usługi swych tymczasowych „lokatorów" jak n. p. w Myślenicach. Ale gdy szczęśliwe oko wypatrzy gdzieś źródełko albo studnię, wówczas idzie tam pielgrzymka spragnionych z różnymi flaszkami, szklankami i t. p. a bardziej łapczywi mają nawet ochotę kapelusze zabrać w tym celu. Ale to zależy już od gustu. Na miejscu kilka razy rozlega się „chlip—chlup" osób szczęśliwych — a później powrót. Tutaj można już oberwać poważnie „lufę" z matematyki przy obliczaniu, ile to będzie przy sprawiedliwym podziale: jedna szklanka wody podzielona na 9 osób. Żeby nie narazić się na tę nieprzyjemność, „przyjemne" czwartaczki wyszukały inną miarę. Zgadnijcie! — nie jest to ani litr, ani metr, ani kilo, tylko... łyk. Tak! Podział następuje wedle łyków. Sławna na cały zapewne świat nasza „pani gospodyni" z wielką powagą i dostojnością należną jej urzędowi, podaje pierwszej z kolei siedzącej szklankę, prosząc, żeby wypiła tylko jeden, jeden (nie więcej) mały łyczek i podała dalej. „Dziecinki" siedzą uroczyście w cieniu drzewa w kółeczku i każda po kolei spełnia swoje żmudne zadanie wychylenia jednego malutkiego łyka. W ten sposób jedna szklanka musi obejść całe kółeczko, aż wróci do pierwszej i znowu na nowo wędruje. jeżeli zawartość na to pozwala. Ta szklaneczka chodzi w tym kółku zupełnie tak samo jak „fajka pokoju" u Indian.

Gdy uczta skończyła się (o zgrozo! tak prędko?), idziemy dalej do celu dnia t. zn. maszerujemy na miejsce spoczynku. Tutaj jest coś pysznego, czego nie można znaleźć nawet w Myślenicach. Otrzymu-

jemy piękne „materace słomiane“ nakryte — no i znużone kładziemy się spać. Ale ponieważ do lekcji musi być odpowiednie przygotowanie, do modlitwy też, więc do spania też musi być.

Sygnałem do przygotowania jest głos naszej kochanej Istotki, pani Opiekunki, życzący nam dobrej nocy. Wtenczas następuje ciemność, a nasze „dziecinki“ będąc we wielkim skupieniu ducha, nagle przypominają sobie, że jeszcze nie obrały sobie kąta do spania. Zaczyna się kino dotyku i węchu: gdzie jest słoma? gdzie jest ściana? gdzie drugi człowieczek? W końcu po długich a ciężkich przeprawach słownych kładą się wszystkie „dziecinki“ pokotem do spania.

Ale pamiętając o wygodach ciała, nie wypada zaniedbać wygód umysłu, trzeba przecież przypomnieć sobie to, co się wywlokło z trudem z Myślenic. A więc płyną siekane skandowania łacińskie, różnorodne płynne „Daedalus interea“ i t. d. i t. d. Później jadą różne pierwiastki z matematyki, zadanie szkolne i t. d. cała masa.

Sumiennie i nadzwyczaj szczelnie wypełnione przygotowanie do snu znakomicie spełnia swoje zadanie, bo pogrąża nas w kamienny sen, z którego budzi nas gwizd i ruch wokoło.

Przebiegam wszystko bardzo pobieżnie, bo zabrakłoby miejsca w gazetce.—Wracamy już do Myślenic regularnym marszem. Później zwalniamy tempo, zwłaszcza ja, bo koło mnie stale brzęczy „muszka“: „jesteś nieznośna — jesteś nieznośna“. Ale cieszę się, że jestem tak doskonale zahartowana, że nie rozbolała mnie głowa z tego powodu.

I wszystkie „dziecinki“ wróciły wesołe i szczęśliwe do Myślenic, marząc o tym, jak dobrze będzie się spało w łóżku.

„*Nieznośna*“ (IV.)

Z naszego życia.

Z działalności Kółka Misyjnego. Tegoroczna praca w Kółku Misyjnym przedstawia się dość pomyślnie. W tym roku Kółko liczyło kilkudziesięciu członków. Na zebraniach wygłaszano referaty oraz deklamacje o treści misyjnej. W niedzielę misyjną wszyscy członkowie przystąpili do spowiedzi i komunii św., ofiarowując je za misje. Zebrano kilkaset znaczków pocztowych oraz nieco staniolu. Z funduszu Kółka wysłano kilkadziesiąt złotych na seminarium misyjne zagraniczne oraz kilkanaście złotych na misje w Chinach. Przez cały rok prenumerowano gazetkę misyjną. Utrzymywano korespondencję z misjonarzami pracującymi w Chinach.

Z powodu zbliżających się wakacyj prezydium Kółka Misyjnego składa wszystkim Członkom i Członkiniom życzenia zdrowych, wesołych i szczęśliwych wakacyj. —

Z Koła Sportowego. Dnia 23-go maja b. r. odbyły się zawody siatkówki w szóstkach i trójkach między gimnazjalnymi drużynami Myślenic i Wieliczki.

Zawody odbyły się przy sprzyjającej pogodzie, w obecności około 250 widzów. Zwycięstwo odniosła drużyna Myślenic, bijąc Wieliczkę w szóstkach w 2 setach, a to 15:11 i 15:13 oraz w trójkach też w 2 setach, a to w stosunku 15:9 i 15:1. Wszyscy gracze grali dobrze. Na szczególne wyróżnienie zasługuje kol. Wacław Sowa, który okazał się bezkonkurencyjnym tak w szóstkach jak trójkach. Nasza zwycięska trójka pokazała zebranej publiczności wysoką klasę oraz doskonałą technikę.

Po południu drużyna Wieliczki wyjechała z Myślenic, żegnana przez przedstawicieli Koła Sportowego oraz licznie zebrane koleżanki.

— Staraniem Koła Sportowego tut. gimn. odbyło się 9. czerwca b. r. **święto sportowe**. Był to pokaz wyników całorocznej pracy na polu wychowania fizycznego. O godz. 8. rano udała się cała młodzież naszego Zakładu z p. Dyrektorem i Gronem profesorskim na boisko za Rabą, gdzie odbyły się zawody z następującym programem: sześciobój męski klas III., IV. i VII.; trójbój żeński klas III., IV. i VII.; palant klas I. i II. chłopców; kwadrant dziewcząt klas I. i II.; zawody siatkówki klas III., IV. i VII. żeńskie oraz koleżeńskie spotkania „Błękitnych" z klasą VII.

Wyniki poszczególnych konkurencji były następujące: Sześciobój męski: Bieg na 100 m.: 1) Z. Banach (III.) 11·8; 2) J. Trybus (IV.) 11·9; 3) T. Łapa (VII.) 12. — Oszczep: 1) Z. Banach (III.) 39·85; 2) M. Bednarski (IV.) 37·65; 3) Z. Kołodziejczyk (VII.) 33·20 — Kula: 1) M. Bednarski (IV.); 2) St. Kiczmal (VII.); 3) Z. Kołodziejczyk (VII.) — Skok wzwyż: Udziela (III.); Stręk (IV.); Wójcik (IV.) po 1·48 m. — Skok w dal: 1) M. Bednarski (IV.) 5·10 m.; 2) W. Sowa (III.) 5·05 m.; 3) J. Trybus (IV.) 4·96 m. — Dysk: 1) W. Sowa (III.) 34·10 m.; 2) M. Bednarski (IV.) 32·74 m.; 3) W. Wójcik (IV.) 31·36 m. — Palant między kl. I. a II. zakończył się zwycięstwem kl. I. w stosunku 10:7.

Wyniki zawodów żeńskich: Klasa I. wygrywa w kwadrancie z kl. II. w stosunku 2:0. — Trójbój żeński: Bieg na 60 m.: 1) Hołujówna (IV.) 8·7; 2) Trojanowska (VII.) — Dysk: 1) Udzielanka (VII.) 21·30 m.; 2) E. Kiełbasianka (III.) 20·80 m. — Skok w dal: 1) E. Kiełbasianka (III.) 3·95 m.; 2) Z. Hołujówna (IV.) 3·84 m. — Mecz siatkówki Błękitni—kl. VII.: przed pauzą wynosił 1:1, a po pauzie z powodu niestawienia się gracza został rozstrzygnięty na korzyść klasy VII., czyli 2:1. — Koleżanki z kl. VII. pokonały w siatkówce klasę III. w stosunku 2:1 i kl. IV. 2:0.—Na tym zawody się skończyły. Podczas zawodów pogoda była piękna, a nawet było zbyt gorąco.

Komisja redakcyjna: *Zofia Broszkiewiczówna, Wanda Trojanowska, Zofia Władymirówna, Waldemar Wójcik, Wacław Sowa, Aleks. Wilk.*
Opiekun: *prof. Ludwik Werszler.*

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.